



Wanda Modzelewska

Sygnatura notacji: **N0176**

Data urodzenia: **1937 r.**

Data nagrania: **19.01.2008 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Leszek Rysak**

Czas nagrania: **47 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Wanda Modzelewska: Gdy wybuchła wojna, miałam dwa i pół roku. Pierwsze, co pamiętam, to jak wrócił w październiku, 1939 roku mój ojciec z niewoli. To był moment, co ja pamiętam. Zadzwoił ktoś do drzwi, otworzyła moja starsza siostra, ja się schowałam w przedpokoju za drzwiami, drzwi się otworzyły, wszedł mój ojciec. I służąca, która u nas wtedy pracowała, krzyknęła: „O rany boskie! Pan wrócił!” i puściła szklankę, i ta szklanka się rozbiła. I to jest jeden moment, który pamiętam, jak wrócił ojciec. Następne, co sobie przypominam, to był moment, kiedy aresztowali mojego ojca Niemcy. Przyszli po niego do domu, on był oficerem rezerwy i... był w ogrodzie w tym czasie, więc poprosili, żeby przyszedł, tam ktoś poszedł po niego, kazali mu się ubierać i chodzili za nim wszędzie: do łazienki, do każdego pokoju i ja chodziłam oczywiście tam za nimi i cały czas go obserwowałam. I później jak już wiedziałam, przypuszczałam, że go zabierają, jeden Niemiec wziął mnie na ręce i dawał mi czekoladę, a ja zaczęłam go okropnie kopać. To pamiętam. I wtedy moja mama mnie zabrała i powiedziała, żebyśmy się tak nie zachowywały, bo nie wiadomo było, co on zrobi. I ojca zabrali. I to jest wszystko, co... I wrócił po pięciu latach. Był w obozie jenieckim w Murnau. I to jest tyle, co pamiętam z początku, że tak powiem, wojny. A później mieszkaliśmy w Staszowie, w województwie kieleckim. Mama była z nami sama przez cały czas, później przyjechali siostra i tam skromnie bardzo źeśmy żyli i wynajmowaliśmy część domu, bo mieliśmy dom przed wojną. I później była... Pamiętam jak weszli Rosjanie. Staszów był w tym przyczółku sandomierskim, więc był po prostu na... W każdym razie były tam te walki słynne. Przyczółek sandomierski i... siedzieliśmy z siostrą, jadałyśmy obiad w kuchni i nagle pokazały się czołgi. My źeśmy krzyknęły, że jadą jakieś czołgi, ciocia, która miała tam już styczność, była tam gdzieś wywożona, tego nie wiem, krzyknęła: „Rosjanie wkroczyli!”. I bez jednego strzału zdobyli miasto. Weszli do miasta i tam dopiero zaczęła się strzelanina, Niemcy też zaczęli strzelać. I mama wróciła, bo mama już wtedy pracowała w rynku i jakimiś opłótkami

wróciła do domu, i poszliśmy się... I to miasto było zdobywane kilka razy, bo było odbijane przez Niemców, później znów Rosjanie go zdobywali. Tak że były tam dość istotne walki. I później my z mamą poszliśmy do szpitala, bo tam był znajomy rodziców lekarz, ordynator i tam żeśmy siedziały w szpitalu. Dużo tam było ludności cywilnej. Tam była flaga wywieszona Czerwonego Krzyża, więc wszyscy myśleli, że się jakoś obronimy. I w tym szpitalu, jak żeśmy byli, to takie dość charakterystyczne, przyszli Niemcy i poprosili, czy jest tutaj mama, spytali się. I mama oczywiście wyszła do nich. Oni poprosili o klucze, bo powiedzieli, że chcą założyć w naszym domu gadaczninę, bo dom tak stał na skrzyżowaniu trzech ulic. Właściwie dwóch ulic, bo to skrzyżowanie. I mama im te klucze dała, bo nie miała wyboru. I później po, nie wiem tam po jakim czasie przyszli z powrotem, przynieśli te klucze i powiedzieli, żeby mama poszła i sprawdziła, czy nic nie zginęło. Oczywiście mama nigdzie nie poszła, bo nas było dwie, trzeba było dzieci pilnować i wiadomo było, że już do domu nie wrócimy. I już więcej do tego domu żeśmy nie wrócili, tylko mieliśmy znajomych w Rytwianach pod Staszowem, to był majątek Radziwiłłów. Tam też mieszkał znajomy, był oficjalistą, tam był nadleśniczym u Radziwiłła i tam żeśmy poszły na piechotę i idąc, szłyśmy, ja miałam zresztą gorączkę, tylko miałyśmy na rękach zimowe płaszcze, bo mama już widocznie sobie zdawała sprawę i... szłyśmy drogą, i tam były snopki, bo było żyto, to był chyba sierpień i były tam, nie wiem, chyba Niemcy byli w tych snopkach i były karabiny, widać było, ale jakoś szczęśliwie żeśmy doszły, tak że nic nam się nie stało do tych Rytwian. I tam byliśmy jakiś czas. Później już tam Rosjanie jak przyszli, to tam założyli obóz taki. Wszystko tam było absolutnie. I później wymyślili, że tam będzie szpital, więc powoli zaczęli nas tam ścieśniać, bo to był dość duży dom i w końcu nas wysiedlili.

Leszek Rysak: Dobrze. Kto wysiedlił, Niemcy czy Sowietci?

Wanda Modzelewska: Sowietci.

Leszek Rysak: Sowietci. W którym roku?

Wanda Modzelewska: To był 1944 rok chyba. 1944 rok to był, bo oni powiedzieli, że tam założą szpital. W związku tym nam, bo już później Niemców nie było, tylko kazali się nam wynieść. I żeśmy pojechali wtedy, jak to się mówiło, za Wisłę, tam z kolei do jakiejś rodziny dalekiej i tam ktoś nam dał jakąś izbę, ale był okres, znaczy może nie wiem, jak to było długo, nie pamiętam. Aha, jeszcze było tak, że mama została, żeby jeszcze coś ratować z domu, a my ze znajomymi, z siostrą, pojechałyśmy na furach takich tam za Wisłę, do Zadusznik. To taka jakaś wioska była. Nie pamiętam. I ponieważ żeśmy były same, więc pierwsza rzecz to Rosjanie nas zaarrestowali z siostrą. I byłyśmy na takim tym jakimś ich komisariacie czy nie wiem, jak to nazwać. I pytali się, skąd my jesteśmy, kto my jesteśmy, nikt się za nami nie ujął, bo ci państwo już poszli na swoją kwaterę i siostra zaczęła tłumaczyć, bo jednak sześć lat ode mnie starsza i w końcu poszli po tę rodzinę jakąś, że my faktycznie do nich przyjechaliśmy i dzięki temu nas wypuścili. I tam w tych Zadusznikach było strasznie, bo był okres, że mieszkaliśmy w jednym pokoju z Rosjanami. Pół pokoju zajmowałyśmy my we cztery z ciocią i z mamą, a w drugiej części mieszkali żołnierze radzieccy. I przyszedł... Oni strasznie pili. I przyszedł moment, że jak byli pod wpływem alkoholu, chcieli nas zastrzelić i wtedy siostra, była taka parterowa chałupka, siostra wyskoczyła przez okno, pobiegła tam do tych ich naczelnictwa i w końcu dzięki temu nas uratowali i nie zastrzelili. A później wujek, mamy brat, który się dowiedział, szedł za nami. Aha, jeszcze jak byliśmy w tych Rytwianach, to pamiętam, że było bombardowanie Staszowa. Mama wtedy była w Staszowie, chciała jeszcze

coś ratować, a my żeśmy tam byli z tymi obcymi ludźmi w piwnicy. To było straszne, bo ogromne huki z tego Staszowa dochodziły, te bomby wybuchaly i koło naszego domu spadło siedem bomb. Tak że był absolutnie zrujnowany. W sensie dachu nie było. Natomiast w środku coś tam jeszcze zostało. I mama tam oczywiście później jeszcze poszła, chciała coś uratować, to okazało się, że byli radzieccy żołnierze i pocięli wszystkie kanapy, krzesła były skórą kryte, wszystkie lustra wystrzelane, bo wtedy była taka moda, że były szafy z lustrami, tak że zdewastowali absolutnie do końca ten dom, wszystkie książki były powyrzucane na podwórze i powyrywane kartki, fruwało całe podwórze i ogród był zaślany książkami. Mama coś tam, co jeszcze mogła, to uratowała i tak żeśmy tę wojnę przeżyły. Później do tych Zadusznik przyszedł po nas mamy brat, przechodził przez Wisłę, po łodzi szedł, bo to był mróz i załatwił tam jakieś furmanki i my żeśmy przyjechały do Chmielnika. To też takie miasto pod Kielcami, a tam już było lepiej, bo byliśmy z rodziną i tam wrócił mój ojciec, bo dowiedział się, z prasy niemieckiej się dowiedział, że Staszów jest zrównany z ziemią właściwie, bo był bardzo zniszczony i się domyślił, że jeżeli żyjemy, to możemy być tylko w Chmielniku. I do Chmielnika wrócił ojciec. Przyjechał taką kolejką wąskotorową. Ja zawsze wiedziałam, że ja ojca poznam, bo ojca bardzo kochałam. Ale niestety nie poznałam. Jak zaczął machać i dopiero wtedy się domyśliłam, że to jest ojciec. I tak było. Później już żeśmy wyjechali do Łodzi, do ojca siostry, tam zaczęło się już tak normować troszkę.

Leszek Rysak: Czyli potem Łódź, potem...

Wanda Modzelewska: Potem Łódź, ojciec był z zawodu notariuszem. W Łodzi oczywiście nie miał pracy w swoim zawodzie i później zaczął się tam starać, i wylądowaliśmy w Sandomierzu, gdzie ojciec został zastępcą notariusza. Wtedy jeszcze notariat był prywatny, więc to były jeszcze wtedy inne czasy i żeśmy tam zaczęli żyć bardzo skromnie, bo żeśmy wyszli z wojny, jak żeśmy stali. Wszystko żeśmy absolutnie stracili, cały dorobek moich rodziców. A było co tracić.

Wanda Modzelewska : Mieszkając w Staszowie, nie pamiętam, w którym to było roku, pewnie w 1943 albo 1942, ponieważ nasz dom był dość okazały jak na owe czasy, Niemcy nas wysiedlili z tego domu. I dostałyśmy takie jakiś pokój w strasznych warunkach, bo powiedzieli, że tam będzie mieszkał jakiś Niemiec wysokiej rangi. Ale okazało się, że nie mieszkał, natomiast cały dom został odnowiony. Wszystkie pokoje, przedpokoje, bo to był dom piętrowy, tak że wszystko zostało odnowione bardzo ładnie. Mama się oczywiście starała o to, żebyśmy mogły tam wrócić i nie pamiętam po jakim czasie, w każdym razie chyba po roku wróciliśmy do tego domu, ale później zaraz, to może był 1943 rok, bo później już zaraz było właśnie to zdobycie Staszowa przez Rosję. I jeszcze był taki charakterystyczny moment, to o ile pamiętam, w Sandomierzu, w Staszowie był burmistrz, który był chyba folkslistą [folksdojczem]. W każdym bądź razie chyba współpracował z Niemcami i został zabity. To było bardzo duże wydarzenie jak na takie małe miasto, bo wszyscy się bardzo bali. Jego pogrzeb to był, pamiętam ten pogrzeb, z tym, że mama nam nie pozwoliła dochodzić do okien, bo on przechodził koło naszego domu. Byli tam ludzie, obstawione było wszystko, bo to po prostu prawdopodobnie zabili go partyzanci, którzy działali w kieleckim, tam byli w kieleckim "Jędrusie". Widocznie dostał wyrok śmierci. W każdym razie pamiętam ten pogrzeb. I to są takie urywki, które pamiętam. Cóż, widocznie to było takie przeżycie dla takiego małego dziecka, te początki, że ja to po prostu pamiętam doskonale, jak właśnie ojca zabierali do niewoli i jak ojciec wrócił z niewoli to były najbardziej takie momenty dla mnie wzruszające.

Leszek Rysak: Jak wyglądały warunki życia wówczas? Czy pamiętasz jak, co było, co jadłaś, o czym marzyłaś do je-

dzenia, czy coś było niedostępne? W jaki sposób to wyglądało? Jak wyglądała wzajemna pomoc międzysąsiedzka?

Wanda Modzelewska: Pomocy międzysąsiedzkiej to nie bardzo pamiętam. Aha, była, to tyle było, że ojciec przysyłał z niewoli takie blankiety na paczki. I co jakiś czas ktoś ze znajomych rodziny, rodziców taką paczkę przygotowywał. Mama też oczywiście robiła te paczki, to pamiętam, że robiła zacierki suszone, cebula była wysyłana, suszone zacierki, suszone jakieś kluski. Tak że my, co tam mogła, to dawała. My żeśmy bardzo skromnie żyły ponieważ mama nie była przygotowana do samodzielnego życia, ojciec ją wprowadził we wszystko absolutnie po ślubie, tak że ojciec świetnie zarabiał, a mama właściwie zajmowała się domem i nie tyle nawet zajmowała, ile nadzorowała, bo zawsze było kilka osób do pomocy. No, jedliśmy głównie kaszę i zalewajkę. I w niedzielę, kiedy już było takie święto, to była kasza jaglana ze śliwkami, na którą ja do dzisiaj nie mogę patrzeć. A tak no to bardzo skromne było jedzenie, jeszcze mieliśmy taką rodzinę, która mieszkała pod Staszowem w Golejowie i wtedy, kiedy oni mieli krowę, tam trzymali, bo to też był oficjalista Radziwiłłów, to przywozili nam mleko. Tak że tyle pamiętam, że nam pomagali w tym sensie, że jakieś mleko, masło, zapraszali nas nieraz, ale o ile ja pamiętam, to bardzo skromnie żeśmy żyli. Mama, był okres, że piekła ciastka i taką budkę nawet tam miała jakąś wydzierżawioną i przez jakiś okres te ciastka tam sprzedawały z cicią i to podobno, tyle z opowiadań pamiętam, to był najlepszy okres, kiedy nam się najlepiej powodziło. Natomiast w Rytwianach, jak żeśmy były, to codziennie na śniadanie była zalewajka i takiej zalewajki to ja do dzisiaj pysznej nie jadłam, chociaż była na niczym. I dostawałyśmy talerz tej ciepłej zalewajki i kromkę chleba. I to było wszystko. Ja byłam chorowita, więc kiedyś pamiętam, mama zdobyła jakieś jedno jajko i ja oczywiście to jajko dostałam, i dzieci które tam, bo to nie tylko ja tam byłam, okropnie zazdrościły, że ja dostałam to jajko. A ja najbardziej jak byłam mała, lubiłam kiełbasę, więc jak przyjechaliśmy do Chmielnika, to na Mikołaja dostałam dzieśnięć deko kiełbasy w woreczku przy łóźeczku. A tak to było... Ale przeżyliśmy i jakoś dzięki Bogu. Ale było bardzo ciężko i najbardziej zazdrościłam dzieciom zabawek i to, że mają ojca. I zawsze mówiłam, że jak wróci mój ojciec, to ja też będę miała lalkę taką, jaką sobie wymarzyłam i wózek. I jak żeśmy się przenieśli do Łodzi, to jak ojciec zaczął pracować, to pierwsza rzecz, kupili mi wózek i lalkę. Takie mam wspomnienia. W Łodzi też było bardzo ciężko, bo przecież nas było czworo. Ojciec tylko pracował. Zresztą mało chyba wtedy zarabiał, nie pamiętam już gdzie. Tak że wojnę wspominam nie najlepiej.

Leszek Rysak: Tak, żeby uporządkować. To znaczy tak, w okresie okupacji przez kilkanaście miesięcy byłyście wykwaterowane, bo Niemcy zajęli dom na kwaterę dla swoich urzędników bądź oficerów.

Wanda Modzelewska: Tak. Jakiś wysoki oficer miał tam mieszkać.

Leszek Rysak: Tuż przed zakończeniem okupacji niemieckiej wróciliście do domu i po paru dosłownie miesiącach zostałyście z powrotem wyrzucone, tym razem przez Sowietów.

Wanda Modzelewska: My żeśmy ze Staszowa. Nie wiem, kto to wydał ten rozkaz, bo to była ewakuacja miasta.

Leszek Rysak: Czyli to była decyzja niemiecka, tak?

Wanda Modzelewska: Nie wiem, czyja to była decyzja. W każdym bądź razie ponieważ to był ten przyczółek sandomierski, linia frontu, to całe miasto miało się ewakuować po prostu. A czyja to była decyzja, trudno mi powiedzieć. Po prostu nie pamiętam, a u mnie w domu się o wojnie nie mówiło później. Niewiele. Tam żeby ojciec opowiadał, no, coś tam opowiadał, jak było w tym obozie, ale na ogół to nie było takie. Tak że nie wiem, może moja siostra by wiedziała, kto. Czyja to była decyzja. Gdy zbliżał się front, to Staszów został... Ludność cywilna miała opuścić miasto. Ponieważ tam były bardzo silne walki. I my żeśmy właśnie wtedy poszły do Rytwian. Na piechotę oczywiście. To nie było daleko. Nie wiem, to było siedem czy osiem kilometrów. W każdym bądź razie tam żeśmy... Tu się zaczęło, odtąd się zaczęła nasza tułaczka. I trwała do 1940... Do końca wojny. Jeszcze pamiętam w tych Rytwianach to już przyjeżdżali z rządu lubelskiego. Już tam jacyś panowie byli z tego rządu w takich skórach. To pamiętam. Jak bryczką jechali Radziwiłła. Tak że ja nie mam dużo wspomnień, bo ja byłam mała. Zaczęła się tułaczka, więc byliśmy, mieszkaliśmy jakiś czas w Rytwianach, nie pamiętam jak długo. Później znów z Rytwian zostaliśmy już przez Rosjan, to na pewno, wysiedleni i znaleźliśmy się w Zadusznikach. Z Zadusznik przyjechał po nas, przyszedł po nas wujek, bo to wszystko się odbywało na piechotę i później pojechaliśmy do Chmielnika. Oczywiście wozami. Jeszcze był taki incydent, że... Wszystko się oczywiście załatwiało za wódkę. Więc mama miała przy sobie kilka półlitrówek bimbru, bo to tam pędzili ci ludzie, zresztą pamiętam, jak zacier stał pod łóżkiem i wozami wyjechałyśmy do... Bo tam jakieś łóżka mama uratowała, coś tam uratowała z tego domu. Pojechałyśmy do Chmielnika i były, pamiętam, jak żeśmy jechały. Znaczą jechali, bo tam był mężczyzna, który powoził i było bardzo dużo tych rosyjskich wojsk. Tam szły całe ciężarówki. I w pewnym momencie, oczywiście oni wszyscy byli pijani, i tą ciężarówką tak jakoś podjechał, że ten koń się spłoszył i wpadł na pole, które było ogrodzone drutami kolczastymi. Okazało się, że tam są miny, więc była duża szansa, że my w ogóle z tego żywe nie wyjdziemy. I ten koń się skaleczył, bo o te druty kolczaste, ale ten chłop wysiadł i jakoś tymi koleinami, którymi wjechał, cofnął ten wóz. Tak że przeżyłyśmy te miny. To pole minowe doskonale pamiętam. A jak przyjechaliśmy do Chmielnika, to był duży dom z dwoma wejściami i my żeśmy weszły od frontu, gdzie zawsze się wchodziło. I okazało się, że tam stacjonuje jednostka radziecka, bo oni kierowali ruchem, bo ten dom też tak stał na takim skrzyżowaniu ulic i pierwsza rzecz, oczywiście nas zaarrestowali. Pierwsza sprawa. Zaczęli się pytać, kto my jesteśmy, skąd żeśmy przyszły i tak dalej. No więc w końcu ktoś tam usłyszał z drugiego końca domu krzyki i my żeśmy... Wujek przyszedł i nas oczywiście zabrał, i zaprowadził nas od wejścia kuchennego jak gdyby z drugiej strony domu, bo ten dom stał tak, że i z jednej strony ulicy było wejście z jednej ulicy i z drugiej, z drugiej ulicy, więc tam nas już zaprowadził i tam żeśmy już mieszkali. Tak że jak przez ten czas, gdzie byli ci Rosjanie i tam były takie, kobiety kierowały ruchem i był taki jakiś lejtnant, pamiętam. Codziennie przychodził i pił wódkę. Tak że taki był też incydent nieprzyjemny, że pierwsza rzecz, co się stało, to nas zaarrestowali. A później wrócił ojciec i zaczął szukać jakiegoś zajęcia i pojechaliśmy do Łodzi. W Łodzi najpierw mieszkaliśmy u ojca siostry, tam też nie było bardzo warunków, ale jeden pokój żeśmy dostali, a później dostaliśmy już samodzielne mieszkanie w takim domu bez wygod oczywiście i tam żeśmy mieszkali, i w sumie tam byliśmy do 1948 roku. A moja siostra została, ponieważ ona była starsza i chodziło o to, żeby chodziła do szkoły, już wyżej, bo ja to chodziłam do podstawowej w Łodzi, ale to w Łodzi. Nie, jeszcze w Chmielniku chodziłam przez ten czas, gdzie... My żeśmy w lutym chyba przyjechali do tego Chmielnika, tak że przez pół roku, właściwie przez rok, tylko połowa trzeciej klasy, bo ja zdałam egzamin, poszłam od razu do klasy trzeciej. A wyjechaliśmy z Chmielnika... Chyba, nie pamiętam... W każdym razie ja już do Łodzi poszłam do klasy czwartej. I chyba od połowy roku. Tak że chyba w zimie żeśmy przyjechali do Łodzi, a moja siostra była u mamy brata w Bielsku-Białej, bo tam już chodziła do gimnazjum i już ją do Łodzi ojciec sprowadził, pojechał po nią oczywiście

i już, że tak powiem, już mogła chodzić do gimnazjum w Łodzi. A później dostał ten notariat w Sandomierzu i siostra tam już zdała maturę, ja przyjechałam do Sandomierza do klasy szóstej, a w Sandomierzu zdałam maturę, później wyszłam, już z Sandomierza wyjechałam, poszłam na studia.

Leszek Rysak: Ale w Sandomierzu w czasie szkoły miałaś pewien incydent dość...

Wanda Modzelewska: A w Sandomierzu miałam też incydent. Mianowicie w Sandomierzu się tworzyła organizacja Młode Białe Orły. Nie wiem, kto był inicjatorem tego. W każdym bądź razie w szkole było wystawiane przedstawienie pod tytułem Pawko Korczagin. Ja w tym przedstawieniu grałam jakąś tam epizodyczną rolę, ale właściwie gro osób, które tam występowały były w pewnym sensie zwerbowane do takiej organizacji Młode Białe Orły, niby takiej wolnościowej. I tam ja pamiętam kilka, też oczywiście tu wiele nie pamiętam, bo to w ogóle starałam się to zatrzeć w pamięci. I były zebrania, były mowy o Katyniu i o tym, że jesteśmy właściwie, my nie jesteśmy wolnym krajem i ostatniego dnia szkoły to była... Ja kończyłam dziesiątą klasę, to był 1952 rok. Przyszedł dyrektor do klasy po rozdaniu świadectw, przyszedł dyrektor z dwoma panami. Wyczytali nazwiska dziewczyn, bo to było żeńskie gimnazjum, liceum, wyczytał nazwiska i kazał nam iść i trafiliśmy do Urzędu Bezpieczeństwa. I tam oczywiście na przesłuchania, co, jak i tak dalej. Oni właściwie już wszystko wiedzieli absolutnie, bo nam mówili z detalami właściwie, co się działo. I jak mnie do takiej celi wprowadzili, bo to był normalny areszt, tak sobie przyrzekałam, żeby nie wiem jak mnie bili, a wiedziałam o tym, że takie się rzeczy zdarzają, że w ogóle się do niczego nie przyznam i na razie się nie przyznawałam. Natomiast nie mogę powiedzieć, nas nie bili, ale ponieważ już wszystko wiedzieli, co później już tych dziewczyn coraz więcej było, nawet mnie do mojej celi też dokwaterowali koleżankę, to wzięli nas tam na górę na przesłuchanie. Ja tylko ich się zapytałam, czy rodzice będą zawiadomieni, że ja tutaj jestem i że na noc nie wrócę. Czy sobie zdają sprawę, co to znaczy, jak dziecko nie wraca na noc. Ale oni się tym nie przejęli, i oczywiście tam te wszystkie zeznania nasze, które zresztą oni wszystko wiedzieli, spisali, ale nas nie wypuszczali, chociaż powiedzieli, że jak się przyznamy, to nas wypuszczą. I tak właściwie dwa były chyba tylko te przesłuchania, ale nie byliśmy bite. Ja miałam wtedy 15 lat. I żeśmy siedziały, i od... Nas zaaresztowali w czerwcu i na razie nas wypuszczali na taki mały skwerek tam w tym domu, koło tego domu, a później już od lipca nas w ogóle nie wypuszczali. Tak że my żeśmy siedziały, później część tam wypuścili, nie wiem dlaczego, koleżanek, natomiast my żeśmy tam zostały potem we trzy w tej celi i jeszcze ze dwie chyba były gdzie indziej. Jedną koleżankę i tego kolegę, który właściwie był całym szefem tej organizacji, oni mieli po 18 lat, więc trafili do więzienia w Kielcach. Nas straszili domem poprawczym. Ojciec się bardzo starał, oczywiście tam był wynajem adwokatów, ale nie było w ogóle sprawy, więc... I w końcu 1 września się zbliżył. My żeśmy urządziły strajk głodowy, zaczęłyśmy bić w te drzwi zależne, które tam były i przyszedł taki strażnik. To strasznie prymitywny był i mówi: „Jak byśta dłużej byli na wolności, to byśta rewolucję w kraju zrobili”, powiedział i niby mówił, żebyśmy się uspokoiły. My żeśmy tam krzyczały okropnie i to był 1 września. I 4 września nas wypuścili. Zrobili taki, ja wiem, spęd ludzi. Wszyscy dyrektorzy naszych szkół, oczywiście rodzice. Z tym, że dyrektorów usunęli ze szkoły, byli już następnymi dyrektorzy i my wszyscy tam byliśmy zebrani na tej sali i oczywiście jacy to oni są wspaniałomyślni, a to jednak był 1952 rok, więc to jeszcze Stalin żył. Ale nas wypuścili z tym, że za karę nas poprzenosili do równoległych klas. Ale maturę zdałam w tym 1953 roku, tak jak właściwie powinnam, tak że pod tym względem nie było. No, jedyną represją, która była, to oczywiście niedostanie się na studia. To znaczy nas w ogóle nie dopuścili do egzaminu, a wpisali niby, że jesteśmy za młode, bo ja miałam 16 lat i moja koleżanka również, ale właściwie wszystkich znajomych naszych,

którzy nawet nie siedzieli, również się nie dostali na studia. To był taki... Chociaż oni niby nie siedzieli i według mnie nie należeli do tej organizacji, ale tego dobrze nie wiem, ale później rozmawiałam, to właściwie nikt na studiach w pierwszym roku się nie dostał. Ja wtedy wyjechałam do Warszawy, tu do siostry i już się starałam z Warszawy. To już był 1954 rok. Tak że wtedy już się dostałam na politechnikę, którą skończyłam.

Leszek Rysak: Mieszkałaś razem z rodzicami i siostrą, tuż po okresie powojennym w Sandomierzu.

Wanda Modzelewska: Tak.

Leszek Rysak: Czy w domu, czy w mieszkaniu?

Wanda Modzelewska: Mieszkaliśmy w wynajętym pokoju, bo w Sandomierzu wtedy jeszcze się nic nie budowało, chociaż jak żeśmy przyjechali, po pierwsze my byliśmy bardzo niezamożni, więc najpierw wynajmowaliśmy jeden pokój w prywatnym domu i później zwolnił się następny pokój, i zajmowaliśmy właściwie te dwa pokoje do końca. Ojciec w międzyczasie umarł, ale to już umarł jak ja miałam absolutorium. W 1960 roku zmarł ojciec. I nawet się budowało w Sandomierzu, spółdzielnie zaczęły się budować, ale ponieważ jednak było obciążenie, bo siostra też była przedtem na studiach, później wyszła za mąż, też jej było bardzo ciężko, więc ojciec stale pomagał. Ja byłam utrzymywana wyłącznie przez rodziców, nie występowałam w ogóle o żadne stypendium, bo ojciec mi zawsze mówił, że dokąd żyje, to mnie wykształci, natomiast jak zmarł, to mama była bez środków do życia praktycznie, bo żadnych zasobów nie było, bo wszystkie pieniądze szły na bieżąco, to ja wystąpiłam o stypendium. I owszem, dostałam, ale dostałam stypendium zwrotne. Dwa tysiące przez cztery miesiące stypendium zwrotnego dostałam, które spłaciłam w całości, jak zaczęłam pracować. Bardzo mi pomógł mój promotor, bo jak się dowiedział, że ojciec zmarł, ojciec zmarł w sierpniu, ja jeszcze nie miałam, znaczy nie przystąpiłam do egzaminu dyplomowego, do obrony pracy, i on załatwił mi pracę w instytucie, i ja po prostu zaczęłam pracować, i już zaczęłam spłacać to stypendium. Tak że spłaciłam go w całości, tak że nie obciążałam państwa w sensie stypendium. A później już tak jakoś tam.

Leszek Rysak: Opowiadałaś kiedyś, że tata też również nie chciał budować domu, bo...

Wanda Modzelewska: Tak. Znaczący nie chciał zapisywać...

Leszek Rysak: Gdybyś mogła całym...

Wanda Modzelewska: Ojciec mój wychodził z założenia, czy nie chciał w ogóle się zapisać do żadnej spółdzielni mieszkaniowej, bo zawsze mówił, że też niemożliwe, żeby tak było, że musi wybuchnąć trzecia wojna światowa. A ponieważ wszystko stracił w drugiej, więc nie chciał się w ogóle angażować w żadne mieszkania, zresztą źle, dlatego, że mama później też się mordowała, to były dwa pokoje bez wygod, właściwie kuchnia była zrobiona, wstawiona w jednym pokoju, tak że później już jak tutaj była możliwość, to ja mamę zabrałam do Warszawy i tutaj już u mnie była, dożyła 96 lat. Takie miała... A ojciec był w ogóle piśsudczykiem. Zawsze mi opowiadał, że to był człowiek, którego należy stawiać za wzór. Ale ojciec wrócił z niewoli chory. Już miał rozedmnę płuc silną, bardzo kasłał, tak że właściwie

już nie miał bardzo siły, te pięć lat jednak bardzo zrujnowało mu zdrowie.

Leszek Rysak: Gdybyś spróbowała wskazać jakieś wydarzenie z tych pierwszych dni po tak zwanym wyzwoleniu, czyli po wkroczeniu Sowieców, które zapadło ci w pamięć, to jakie to było wydarzenie?

Wanda Modzelewska: No cóż, to przejście do tych Rytwian, później jeszcze w Zadusznikach koniecznie chciałam chodzić do szkoły. I mama nie wiem, jakim cudem uratowała tak zwane niecki, co to kiedyś były, bo u nas dom był dość taki zasobny i za te niecki wkupiła, wymieniła na książkę. I jak byliśmy w Rytwianach, to ktoś jechał do Lublina. I mama prosiła, żeby mi kupił zeszyty. Ja sama się tam starałam jakoś uczyć, tym bardziej, że w czasie wojny jeszcze, ojciec przysyłał... Był taki limit. Do mamy przysyłał raz na miesiąc list z takim drukiem na odpowiedź i mógł przysłać jeszcze dwie kartki, też z drukiem na odpowiedź. I przysyłał jedną do mnie, jedną do siostry. I siostra oczywiście już umiała pisać, bo chodziła do szkoły, a ja nie. I koniecznie chciałam się nauczyć pisać, i mama mnie wysłała do takiej pani nauczycielki, bo do szkoły mnie nie chcieli przyjąć i pamiętam jak poszliśmy z mamą do szkoły i ten dyrektor odmówił, powiedział, że jestem za mała. Ja miałam pięć lat, więc nie było mowy o przyjęciu mnie do szkoły i ja chodziłam do tej pani. Ona mnie nauczyła pisać, czytać, rachować. Tak że ja już później sama te kartki tam jakoś pisałam. I w tych Zadusznikach też koniecznie chciałam chodzić do szkoły. I była taka szkoła, stała gdzieś w polu, czteroklasowa. Z tym, że były dwie izby i dwie były... pierwsza i druga klasa w jednej klasie, i trzecia, czwarta w następnej. I ja chodziłam do tej szkoły parę dni, bo to była zima, trzeba było przejść przez takie straszne zasy. Ale tam krótko byłam, bo później już żeśmy wyjechali i pamiętam, że właśnie część klasy tam już pisała, część czytała. W każdym razie te lekcje się odbywały tak na zmianę po połowie i to bardzo chciałam do tej szkoły chodzić. I pamiętam właśnie to, jak to była ta szkoła taka, ale to tam parę, nie wiem, jak długo chodziłam, bo ja tak w czasie nie bardzo to teraz kojarzę. Dla mnie to w ogóle, na moją psychikę wojna bardzo wpłynęła, bo to jednak chowałam się w nienormalnej rodzinie, bo nie było ojca i ta bieda, która wtedy była i my żeśmy mieli tam bardzo dużo, rodzice mieli dużo znajomych dość zamożnych, w związku z tym ja się bardzo odróżniałam od tych dzieci, bo one miały i zabawki, i ubrania inne. Na pewno to nie było takie wielkie, ale dla dziecka to było takie trochę poniżające. I zawsze mówiłam, że jak mój ojciec wróci, to ja będę też miała, ale na mnie bardzo duży wpływ wywarł ten arest śledczy w Sandomierzu.

Leszek Rysak: Czyli te już powojenne wydarzenia.

Wanda Modzelewska: To już powojenne. To ja już wtedy, ja jednak byłam, miałam 15 lat, jako dziecko byłam jeszcze młodsza, ale niewątpliwie w czasie wojny strach, że może mama nie wrócić, że może się z mamą coś stać. To okropnie, jak ci Rosjanie weszli i mama nie wracała, słyhać było z rynku te strzały, jak Niemcy zdobywali, a Rosjanie zdobywali miasto, a Niemcy się też zaczęli ostrzeliwać, to bardzo długo mama nie wracała, to dla mnie była straszna trauma. I również w tej piwnicy, jak żeśmy siedzieli, jak był Sandomierz bombardowany, a my byliśmy w Rytwianach. Staszów jak był. My byliśmy w Rytwianach, to okropnie. Wtedy całą noc żeśmy siedzieli w tej piwnicy i taki pan mnie wziął na ręce. Jak się okazało później, to był dyrektor Rejtana po wojnie, liceum Rejtana. I mówi: „Wyobraź sobie, że jestem twoim tatusiem”. I tak mnie przyciskał, bo ja byłam mała. Przyciskał mnie tak do siebie i mówi: „Nie martw się, mama wróci”, a dla mnie to było straszne. Jeszcze co ogromne na mnie wywarło wrażenie, to wigilia. To chyba było z 1944 na 1945 rok. Mama została w Staszowie, żeby jeszcze tam coś ratować. W tych Zadusznikach żeśmy

byli z siostrą i to była wieś, więc tam ludzie mieli co jeść i ta wigilia była, nie pamiętam, jakie były potrawy, bo nic nie jadłam, ale pamiętam, że strasznie przeżywałam, że my tutaj właściwie mamy co jeść, jest nam ciepło, a nie wiadomo co jest z mamą, że na pewno nie ma kawałka chleba i faktycznie nie miała, jak się potem okazało. Tak że... Bo jeszcze chciała coś z tego domu uratować, żeby cokolwiek wynieść. Tak że to był dla mnie... Ta wigilia była dla mnie straszną traumą.

Leszek Rysak: Czyli gdyby mówić o poczuciu straty, czy masz poczucie straty czegoś?

Wanda Modzelewska: Oczywiście. Ja mam poczucie ogromnej straty i wielkiego zubożenia przez wojnę, bo my żeśmy wyjątkowo dużo stracili, mając właściwie nie... Później już to nigdy nie zostało odbudowane, bo już ojciec wrócił chory, tak że już... Straciliśmy wszystko właściwie, co mieliśmy. Cały dorobek rodziców został stracony, bo później sprzedali niby ten dom, znaczy nie dom, bo już domu prawie, że nie było. Te mury i ziemię, ale nie było butów, jak pamiętam, przyjechalśmy do Łodzi, to ja nie miałam w ogóle butów. I jak mi kupili rodzice pierwsze buty nowe, bo przedtem to jakieś tam używane po kimś zawsze miałam, to ja z nimi spałam. Byłam tak szczęśliwa, że ja mam nareszcie nowe sznurowane buty. Tak że to... Niemcy nas wykwaterowali. Pamiętam, że mama zabrała łóżka na przykład. Bo nie było można więcej nic przewieźć, bo nie było miejsca, bo my dostaliśmy maleńkie dwa pokoje w jakiejś suterenie w strasznych warunkach, ale pamiętam, że łóżka, bo mama jakoś była bardzo przywiązana do łóżek i stale chciała, żeby były łóżka i pościel, bo uważała, że jak to będzie, to chociaż będzie można gdzieś spać. Były zabrane nasze łóżka, znaczy moje łóżeczko, mniejsze siostry i dwa łóżka z sypialni rodziców to były zabrane tam do tego miejsca, gdzie nas zakwaterowali. I jeszcze byliśmy uczone, że nie wolno nic od Niemców przyjmować, bo jak nas wykwaterowali i nie wiem, jak to było, że byli tam Niemcy i też zaczęli nas częstować cukierkami. I my żeśmy miały zapowiedziane, że żadnych cukierków, żadnych słodyczy czy niczego nie wolno przyjmować od Niemców, bo była taka psychoza, że Niemcy trują na przykład. Tak że my żeśmy nigdy z żadnych nie korzystały. Nawet chęci. A jeszcze taki był incydent w Słazowie. Ja byłam sama w domu i przyszedł Niemiec, i poprosił, żeby mu pożyczyć polewaczkę. Taką do ogrodu. Ja powiedziałam, że mu nie pożyczę tej polewaczki. Najpierw zapytał się o mamę, ja powiedziałam, że mamy nie ma, to on chce pożyczyć polewaczkę. Ja powiedziałam, że mu nie pożyczę, to on, bo on po polsku mówił, zapytał się dlaczego. Ja powiedziałam, że: „Wy trzymacie mojego ojca w niewoli i ja wam tej polewaczki nie dam”. I on wtedy wyjął zdjęcie z dwojgiem swoich dzieci, dzieci mniej więcej były w moim wieku, i mówi, że on też tutaj nie jest z własnej woli, i że on też zostawił dzieci, i nie wiadomo, czy wróci. I tam mnie bardzo uspakajał. Ja byłam strasznie zadziorna i powiedziałam, że nie ma mowy. I przyszła mama, ja jej o tym mówię, mama mówi: „Trzeba było pożyczyć tę polewaczkę, bo przecież mógł wyjąć pistolet i cię zastrzelić”. Ale przyszedł później do mamy i mówił, że: „Ma pani dzielną córkę, że tak stanęła za ojcem”. Takie incydenty tam. Oczywiście nie wszystko mam poukładane.